

## „Rumianek” (14)

Kiedy byłem jeszcze młodym człowiekiem mającym jedenaście, dwanaście lat rodzice rozpoczęli moją edukację w dziedzinie ekonomii i podstaw przedsiębiorczości. Wpajali mi w mój młody, rozbawiony umysł potrzebę oszczędzania i zarabiania na potrzeby własne. Oszczędzać nie miałem jak, bo nigdy nie dostawałem kieszonkowego, a zarabiać nie miałem gdzie.

Na wszystko jednak jest odpowiedź.

W naszej okolicy bez trudu można było znaleźć rumianek pospolity mający właściwości lecznicze rosnący wzdłuż drogi, na miedzach, a czasami na polach uprawnych. Dowiedziałem się, że zbierając i sprzedając ten rumianek, można zarobić. Trzeba było jednak ubierać go wystarczająco dużo, żeby podzielić na wiązeczki i pojechać z nim w inne okolice, gdzie on nie występował. Takim miejscem był Czernichów, kilka kilometrów za Wołowicami. Duża miejscowość z Urzędem Gminy, pocztą, szkołami i targiem. Tam też postanowiłem rozpocząć swój biznes. Przez dwa dni od rana do wieczora chodziłem po polach i zbierałem ten rumianek pospolity. W domu rozdzielałem go na wiązeczki i pakowałem do dużego tekturowego pudła.

W środę rano przywiązałem pudło do bagażnika roweru i udałem się do Czernichowa.

W handlu nie miałem żadnych doświadczeń, ale perspektywa zarobienia na nowy tornister, czy piórnik wzmagała moje starania. Wiedziałem, że rodzice mi na to nie dadzą, bo ich zdaniem nie było takiej potrzeby. Przechodząc pomiędzy handlującymi na targu, obserwowałem ich zachowania. Szukałem jakiegoś wolnego miejsca, gdzie mógłbym się rozłożyć ze swoim „towarem”. Nie znalazłem. Stałem już na końcu placu targowego i usiadłem. Nikt nie był zainteresowany moim rumiankiem. Zbliżało się południe. Podeszła do mnie jakaś kobieta i zapytała – „a u was tam nie rosną chabry? Jakbyś miał bławatki, to kupiłabym też od ciebie ten rumianek”. „Oczywiście, że rosną, nawet dużo” – odpowiedziałem.

„Przywieź mi kilka wiązeczek bławatków, to ci zapłacę i za chabry i za rumianek”.

„Nie ma sprawy” - odrzekłem i popędziłem po bławatki. Szybko zbierałem spory pęk kwiatów i ruszyłem do Czernichowa. Dzień targowy dobiegał końca. Niewiele osób było na placu. Rozglądałem się za poznaną wcześniej kobietą, ale jej nie znalazłem. Nie znalazłem też pozostawionego pod jej opieką rumianku. Popłakałem się. Trzy dni roboty na nic. Do domu wróciłem, jak zbity pies z podwiniętym ogonem.

Kiedy opowiedziałem o tym moim rodzicom, usłyszałem tylko: „Głupich nie sieją, oni się rodzą. Masz nauczkę”

Było mi przykro, zwłaszcza że w tym dniu mój kolega Ryszard paradował w nowych dzinsach, których ja będąc w domu rodzinnym, nigdy nie miałem i na które na pewno nie musiał sobie zapracować zbieraniem rumianku.

### **„Dziura w kieszeni” (15)**

W latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku nasza miejscowość nie była dobrze skomunikowana z miastem. Nie było wtedy autobusów Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego MPK w Krakowie, tylko PKS. Autobus ten jeździł kilka razy w ciągu dnia. Dwa kursy rano, jeden przed południem i dwa kursy po południu. Wyjeżdżał z Dębnie w Krakowie i jechał przez kolejne miejscowości: Przegorzały, Bielany, Kryspinów, Liszki, Rączną, Dąbrowę Szlachecką aż do Wołowic. Zawsze był przepełniony, gdyż większość pasażerów pracowała w Krakowie, a na wieczór powracała do domów na wsi. Do najbliższego przystanku było dwa kilometry. Wiedziałem, że tata przyjedzie tym PKS-em - postanowiłem wyjść mu naprzeciw. Było już ciemno. W grudniu dzień bywa krótki. Dla podniesienia swojego bezpieczeństwa zaopatrzyłem się w latarkę na baterię i dwulufowy korkowiec. Oczywiście załadowany. Padał deszcz. Ubrałem kurtkę i czapkę. Na nogi założyłem gumki, a spodnie wpuściłem do środka, żeby nie zamoczyły się w licznych kałużach. Nie było wtedy asfaltowej drogi. Szedłem dość szybko. Dochodzące z zabudowań odgłosy szczekających psów potęgowały mój strach. Załadowany korkowiec idąc, trzymałem w kieszeni spodni, w lewej ręce. W prawej trzymałem latarkę. Zobaczyłem nadjeżdżający autobus. Przyspieszyłem i zacząłem biec. Widziałem grupę osób wysiadających z autobusu i mojego ojca. Biegłem dalej. Kilkadziesiąt metrów od nich potknąłem się i wywróciłem. Upadając, nacisnąłem na spusty korkowca i odpaliłem z dwóch luf. Ogień wystrzału wypalił mi wielką dziurę w kieszeni spodni, a opadająca siarka poparzyła nogę. Na domiar złego, wywracając się, umoczyłem się cały w kałuży.

Kiepskie powitanie.

### **„Bibice” (16)**

W wakacje między szóstą a siódmą klasą Szkoły Podstawowej po raz pierwszy postanowiliśmy wraz z Kazimierzem i Ryszardem spróbować swoich sił przy obieraniu czereśni „za Krakowem”. Zarobek miał nam zapewnić potrzebne środki na zakupy nowych ciuchów i butów. W poniedziałek rano około 6:00 stanęliśmy na Nowym Kleparzu wśród innych dzieci i dorosłych pragnących zatrudnić się do prac sezonowych. Przychodzili tam gospodarze pragnący nająć ludzi do roboty. My zostaliśmy zaproszeni przez

starszą kobietę do pracy przy zbiorze czereśni w Bibicach. Zgodziliśmy się. Miało być wynagrodzenie wraz z wyżywieniem i zakwaterowaniem. Na miejscu okazało się, że zakwaterowanie będziemy mieć w stodole na sianie, a za wyżywienie gospodyni potrąci nam z wypłaty. Na dodatek wieczorem musimy siedzieć w stodole, bo gospodarz wypuszcza na ogrodzony teren pięć psów, mających za zadanie pilnować zabudowań. W stodole zaś w prowizorycznej zagrodzie znajdowało się stado owiec. Obejście wyglądało na zadbane, niczym jakiś dworek szlachecki z zabudowaniami. Duży ogród z drzewami owocowymi i krzewami agrestu. Kawalek roli uprawnej z grządkami. Podobało nam się. Wyjazd ten traktowaliśmy, jako wspaniałą wakacyjną przygodę. Około południa wraz z gospodarzem udaliśmy się do sadu. Do starych czereśniowych drzew dostawione były wysokie drewniane drabiny. Każdy z nas dostał swój koszyk z uchwytem i rozpoczęliśmy zbieranie czereśni. Gospodarz stał na ziemi i kolejno odbierał od nas pełne koszyki pysznych czereśni. Nisko owoce te nie były zbyt dojrzałe. Najładniejsze były wysoko, bardzo wysoko. Wychodząc coraz wyżej, czułem, jak drabina zaczyna się uginać i przechylać na bok. Chciałem zejść, ale „rudzielec”, bo tak nazwaliśmy gospodarza, zabronił mi i zaczął potrząsać drabiną. „Do góry tchórze, dalej do roboty” – krzyczał. Wszedłem więc na sam szczyt i obierałem, ale nie zbierałem zbyt wiele, bo nie mogłem dosięgnąć gałęzi. Jak na swój wiek, byłem małym i chudym chłopcem. Słabym i nieśmiałym. Nie byłem też na tyle odważny, aby sprzeciwić się pracodawcy i wrócić do domu. Bałem się reakcji rodziców. Wysłali mnie przecież na zarobek, nie mogłem ich zawieść. Przepracowałem jakoś pierwszy dzień i wieczorem poszliśmy spać. Smród owiec i szczekanie psów utrudniało zaśnięcie, ale zmęczenie wzięło górę. Około północy zasnąłem. Wczesnym rankiem zostaliśmy obudzeni na śniadanie. Psy już były w swoich kojach, tylko ich przywódca potężny bernardyn „Kacper” leżał obok kuchennego stołu. Czekał na nasze kanapki. Każdy mu coś tam dał, żeby się wkupić w jego względy. Był spokojny. Wcale nie musiał gryźć, żeby wymusić posłuch u innych psów i wywołać respekt u ludzi. Był wielki. W nocy padał deszcz i drzewa były mokre, śliskie i niebezpieczne. Gospodarze zdecydowali, że dopóki nie obeschną, nie będziemy zbierać czereśni. Poszliśmy w pole. Polecono nam wypielenie posadzonych tam jarzyn. Mnie jako chłopcu ze wsi wyznaczono szczytne zadanie radełkowania grządek.

Nie ma sprawy – pomyślałem i wziąłem się do roboty. Praca wręcz paliła mi się w rękach. Po godzinie grządki były „czyste”. Musiałem swoją robotę zrobić doskonale, bo kiedy przyszedł „rudzielec”, przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa. Musiał być zachwycony...

„W końcu mi się udało zrobić coś dobrze” – pomyślałem i uśmiechnąłem się szeroko.

O tym, że to był kiepski pomysł, przekonałem się kilka sekund później. Gospodarz o rudych włosach wpadł w szal. Pobiegł do sadu po kosę i zaczął mnie gonić. Coś tam do mnie krzyczał, ale nie miałem czasu się nad tym zastanawiać, musiałem sprawnie przeskakiwać przez krzaki agrestu i omijać maliny oraz porzeczki. Nawet nie wiedziałem, że mam tak dobrą kondycję fizyczną. Po kilku minutach ganiań nasz „rudzielec” wysiadł. Ja oddaliłem się na bezpieczną odległość i czekałem na rozwój sytuacji. Po chwili ochłonął i zaczął jęczeć - „wszystkie jarzyny wyradełkował, ... jego mać”.

„Nie wszystkie, nie wszystkie” odpowiedziałem. „ćwikłowe buraczki zostały”. Nie uspokoiło to jednak gospodarza. Poszedł do domu i przyniósł mi moje rzeczy. Potem dał pieniądze na bilet i odwiózł na przystanek autobusowy, żebym wracał do domu. Nie czekał jednak do przyjazdu autobusu i nie widział, czy do niego wsiadłem. Wykorzystałem sytuację i wróciłem w granice jego posiadłości.

„Dziad mi nie zapłacił, mam do domu wracać z pustymi rękami?” „Nie, tak się nie godzi”. Postanowiłem odebrać swoją zapłatę w czereśniach. Obrąłem kilka niższych drzewek i dopiero wtedy z „zapłatą” wróciłem do domu.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Janusz Rosek, dodano 12.06.2024 14:29

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).